

Rozdział III

Siedziałem nieco otumaniony na szpitalnej kozetce a pielęgniarka kończyła zakładanie opatrunku na prawej ręce. Klacz spokojnie przenosiła sobie przed moim nosem wszelakie potrzebne jej narzędzia, niespecjalnie przejmując się moim ciekawskim spojrzeniem. Wprawdzie zdarzało mi się bywać w szpitalu i być poddawany różnym zabiegom, to tak i tak, z wielkim zainteresowaniem przyglądałem się pracy personelu medycznego.

Te kuce miały telekinezę opanowaną do perfekcji. Operowanie kilkoma przyrządami, trzymanie wokół siebie różnych narzędzi, opatrunków, kart pacjenta, strzykawek i igieł dla zwykłego człowieka wydawało się czymś niepojętym, a dla nich to była codzienność. Ja ledwo daję sobie radę z utrzymaniem dwóch kubków a one śmigają tymi wszystkimi gratami, między szafkami i biurkami z gracją baletnic. Do tego, ciężko je rozproszyć. Skupienie na swoim zadaniu do maksimum.

– Gotowe – zakomunikowała – połatany do najmniejszego zadrapania, przyjdź za dwa dni, obejrzymy jak się wszystko goi i pamiętaj o zmienianiu opatrunków – dodała.

– Dzięki, Pill, Ty jedna wiesz jak mnie gustownie pokleić – rzuciłem.

Klacz uśmiechnęła się, po czym zabrała swoje rzeczy i popychając małą szafkę na kółkach wyszła z pomieszczenia. Nie zdążyłem się dobrze po nim rozejrzeć jak wszedł inny jednorożec, doktor Hart. Zerknął na mnie i uśmiechnął się.

– Chyba wyrobię ci kartę stałego klienta – rzucił zadowolony.

Prychnąłem.

– Często u nas ostatnio bywasz. Ty i Lars. Może chcecie wspólny pokój? – Dodał.

– Dorzuć mi piłę do kości i możemy pogadać na ten temat – rzuciłem.

Zarechotaliśmy obaj.

– No to standardowo... – zaczął – bóle głowy?

– Nie.

– Zawroty głowy, omdlenia?

– Nie, nie.

– Halucynacje?

Tutaj zawahałem się na sekundę.

– Nie – odparłem.

Doktor przyjrzał mi się uważnie, ale kontynuował:

– Bóle kręgosłupa? Odcinek szyjny?

– Czasami – odpowiedziałem.

Doktor zanotował coś w dokumentach.

– Problemy z trzymaniem moczu?

– Nie.

– Przyjmowane leki?

– Tylko to co dostaję tutaj.

Kuc zerknął w inną kartkę, pokiwał głową, po czym kontynuował:

– Celność?

– Utrzymana.

– OK... – burknął, po czym wyciągnął moje prześwietlenie – masz szczęście, że nie połamałeś – zaczął, zerkając na moje kości – kilka głębszych ran, obtarcia i siniaki. Zastymulowaliśmy organizm do regeneracji, na dniach wszystko powinno ustąpić.

– Czyli znów do roboty? – Rzuciłem.

– Na dzisiaj i tak dali ci wolne – odparł.

– A... fakt, mamy nowy dzień – odparłem, zerkając na zegar. Za dwadzieścia ósma.

– Dobrze, tyle ode mnie. Na dzisiaj nie rób niczego co ma nadwyrężyć organizm, pozwól ciału nieco się zregenerować, nich mięśnie odpoczną, niech magia działa – dodał – wpadnij za dwa dni na kontrolę – zakończył.

Kuc złożył swoje dokumenty, skinął na pożegnanie i zniknął za drzwiami. Zdjąłem szpitalne ciuchy i wyjąłem z szafki swoje. Zauważyłem, że w moich rzeczach leżała inna kabura a przy niej mała żółta karteczka.

„Walther w depozycie. Nowa służbowa broń to Heckler&Koch MK23.”

Wyjąłem z kabury nowy pistolet i wycelowałem w ścianę. Trzyma się idealnie. Włączyłem latarkę i omiotłem pomieszczenie.

– Nada się – rzuciłem – chociaż i tak będę tęsknił za Waltherem...

Ciężko mi wyzbyć się przyzwyczajeń, taka natura.

Zabrałem wszystkie swoje rzeczy i wyszedłem ze szpitala jednostki. Przemaszerowałem szerokim, oszklonym pomostem nad jedną z wewnętrznych dróg i

znalazłem się już w samej centrali. Wyjąłem telefon i wybrałem numer Larsa. Po kilku sygnałach włączyła się sekretarka.

„Tu Lars, jeśli nie masz dla mnie kilku milionów, rozłącz się. W innym wypadku zostaw wiadomość po sygnale.”

Już miałem się rozłączyć kiedy usłyszałem:

„Żartowałem, spierdaj”

Rozłączyłem się równo z piknięciem sekretarki. Typowy Lars. Cham i prostak, ale znający się na swojej robocie.

Zauważyłem, że o tej porze po centrali kręci się mało ludzi i kucy. Myślałem, że jednak w agencji są jednostki oddane sprawie, siedzące po godzinach, zaczynające pracę przed wszystkimi, ale chyba się myliłem. Każdy miał dość tego miejsca.

Przechodząc obok automatu z kawą, zgarnąłem sobie jeden kubek i zaciągnąłem się jego wonią. Kawa była słaba jak żarty Larsa, ale miała woń którą uwielbiałem. Sam nie wiem czemu. Upiłem kilka łyków płynu nim dotarłem do parkingu. Wyciągnąłem kluczyki i wcisnąłem guzik alarmu. Cisza.

– Kurwa... no tak... – burknąłem.

Samochód przecież został na miejscu wczorajszej akcji. Jasna cholera...

Wygrzebałem z kieszeni telefon i zamówiłem taksówkę pod główną bramę centrali, po czym sam się tam skierowałem. Miałem do przejścia jakieś pół kilometra.

Idąc i siorbiąc podziwiałem jak odizolowana strefa budzi się do życia. W części miasta która należała do agencji było kilka szkół, do których uczęszczały dzieci pracowników centrali. Takich jak ja, terenowych agentów którzy polowali na zjawy, informatorów, naszych lekarzy. Słowem, każdy kto był pracownikiem jednostki, mógł zamieszkać w tej strefie. Jeśli ktoś chciał mieszkać w mieście, tak jak ja, droga wolna. Kwestia, że pewnie byłem pod czujną obserwacją wywiadu, czy czasem nie przechodzę na stronę wroga. No ale cóż, taka cena „wolności”.

Przy samych bramach mieszkały rodziny pracowników niższego szczebla. Głębiej, gdzie teoretycznie miało być bezpieczniej, mieszkali ci ważniejsi, dlatego też w tych okolicach atmosfera była w gruncie rzeczy dość luźna i swojska, w przeciwieństwie do dalszych przecznic, gdzie pełno gburów i pseudo bogaczy.

Bawiło mnie to, ponieważ nawet w takiej sytuacji, gdzie wszyscy jedziemy na jednym wózku, nadal próbujemy się dzielić na równych i równiejszych. Ciekaw jestem jak parzyli na takich jak ja? Totalne zero? Bo nie mieszkam w bezpiecznej strefie? Ciekawe, jak reagowaliby gdyby się dowiedzieli, że przysługuje mi mieszkanko tuż obok nich? W końcu agenci terenowi narażają życie, mamy jedne z najwyższych przywilejów tutaj.

Minęła mnie jakaś grupa kucyków biegnących do szkoły. Chyba mnie nawet nie zauważyli, bo byli zaaferowani własnymi rozmowami i planami na kolejny dzień. Czasem im

zazdrościłem. Niektóre dzieciaki jeszcze nie rozumiały co się dzieje. Dla nich tak jak jest, jest od urodzenia, nie znają innego świata, znają ten, gdzie nie wolno im bawić się po zmroku na zewnątrz, gdzie nie wolno im wychodzić bez nadzoru poza bramy strefy i gdzie od najmłodszego uczą się sztuk walki magicznej, albo obsługi broni.

Za moich czasów było inaczej. Chyba się starzeję.

Młodzież szła do szkoły na cały dzień, kiedy ich rodzice zostawiali z prawdziwymi problemami tego świata. Mężowie szli zwalczać kolejne zjawy a żony zajmowały się domem. Wszystko wyglądało normalnie. Normalniej się nie da. I to właśnie ich zabijało. Nadmierna normalność. Starali się, by wszystko było „normalne” by było... jak dawniej?

Nie zwracano uwagi na ciemne niebo, które dekadę temu straciło swój błękitny kolor, nie zwracano uwagi na informacje o ilości zjaw zabitych poza strefą, nie zwracano uwagi na statystyki opętania. Ignorowano komunikat o udaremnionym zamachu. Ignorowali to, ale wiedzieli o tym. I to właśnie było ich gwoździem do trumny.

Nikt już nie wspomina tego co wydarzyło się kilkanaście miesięcy po Otworciu Bram. Nikt nie wspomina tysięcy odrzuconych wniosków o możliwość wyjazdu. Nie chcieli nikogo stąd wypuścić. Oczywiście, zdarzało się, że jedna czy dwie osoby wydostały się oficjalną drogą, po licznych badaniach, testach. Po dogłębnej lustracji i prześwietleniu całego życia. Ale co ich czekało *tam*?

Odrzucenie, wytykanie i niechęć. Społeczeństwo nas nie chciało. Nie chciało by ktokolwiek stąd się wydostał. Myśleli, że to nasza wina, kara dla tego miasta. Skoro sami na siebie to sprowadziliśmy, to czemu teraz uciekamy? A gdyby to było *ich* miasto? Co wtedy?

Siorbnąłem ostatni raz, po czym wyrzuciłem kubek do pobliskiego kosza. Akurat dotarłem do bramy. Pokazałem strażnikowi swoją legitymację.

Brama szczęknęła i lekko uchyliła się. Przechodząc, zauważyłem coś, co do tej pory umykało mojej uwadze. Wiedziałem, że ta bariera istnieje, ale jakoś nigdy nie miałem okazji się jej przyjrzeć. Otóż, przy bramie zauważyłem cienką magiczną powłokę, okalającą strefę. Powłoka ta ciągnęła się kilkaset metrów wzwyż, oraz opasywała całutką strefę, wraz z podziemiami. Zazwyczaj przejeżdżałem tędy autem, więc nie zwracałem na nią uwagi, ale ona zawsze sobie tutaj była.

Wyszedłem poza strefę i czekałem na taksówkę. Dwaj strażnicy, kuc i człowiek uważnie mi się przyglądali. Ciekaw jestem co ich tak zainteresowało? Fakt, że wyglądałem niczym mumia w tych opatrunkach, czy to, że jestem dzisiaj bez samochodu? A może liczyli, że dopadnie mnie jakaś zjawa i będą mieli na co popatrzeć? Oni też nas nienawidzili. Miałem pełne prawo ich odstrzelić, jeśli tylko miałem podejrzenia co do ich opętania.

Tutaj rodzi się pytanie, co z tymi którzy są agentami terenowymi i mają swoje porachunki? Mogą przecież odstrzelić bezkarnie każdego i nic im nie zrobią. Otóż... Nic! Nie my się zgłaszaliśmy do tej roboty, to nas wybierano. Znali nasze profile psychologiczne, znali nasze wcześniejsze dokonania, świadomie nas wybrali. Liczyli się z tym, że możemy odstrzelić jednego czy dwóch wrogów. Ale to się nigdy nie zdarzyło. A przynajmniej ni

oficjalnie. Jeśli ktoś odstrzelił kogoś z kim miał na pieńku, zostawiano to tylko i wyłączenie pod osąd sumienia pociągającego za spust.

Do bram centrali podjechał jakiś autokar. Jakaś szkoła chyba organizuje wycieczkę, albo coś w ten deseń. Strażnicy natychmiast zaczęli dokładnie sprawdzać pojazd. Róg kucyka zajarzył się i kilka zakłęb poleciało w stronę podwozia. Całe sprawdzanie trwało kilka minut. Człowiek sprawdzał dokumenty kierowcy i na szybko wklepywał je do systemu w celu weryfikacji a kucyk kontynuował swoje magiczne rytuały. Po chwili autokar wjechał za bramę i skierował się gdzieś dalej, zapewne na jeden z parkingów.

Dzięki temu czas zleciał mi szybciej i nie zauważyłem nawet jak podjechała moja taksówka. Wsiadłem, podałem kierowcy adres, gdzie ma mnie podrzucić i rozsiadłem się na tylnej kanapie.

W radio leciał jakiś poranny serwis informacyjny podający liczbę zjaw jakie pojawiły się w mieście. Reporter cieszył się, że tej nocy nie ucierpiał nikt z mieszkańców. Nieco zaskoczył mnie fakt, że słowem nie zająknięto się o wydarzeniach jakie miały miejsce kilkanaście godzin wcześniej. Nic o wysadzeniu magazynu, nawet zdania o strzelaninie na jednym z osiedli. Cóż, pewnie centrala dostała się także do mediów, przez co maskują swoje działania. W sumie nawet lepiej.

Kilka minut później, kierowca zaczął sobie pogwizdywać w rytm tej samej piosenki którą słyszałem już dziesiątki razy w radio. Znowu nie mogłem sobie przypomnieć jej tytułu. No kurde, jeszcze chwila i zacznę mnie to dręczyć... Nie ma nic gorszego od upartej nuty która zagnieździła ci się w głowie i nie chce puścić. Gdybym jeszcze znał tytuł, mógłbym nawrzucać autorce. Oczywiście gdzieś w samotności, żeby nikt nie słyszał, ale poczułbym się lepiej.

Ulice okalające centrum powoli wypełniały się samochodami, chodniki przechodniami a miejska kolejka w zasadzie była już pełna. Typowy obraz miast które zaczyna kolejny dzień. Już nikt nie zwracał uwagi na wszędobylskie czujniki aury magicznej, na kamery spoglądające w każdy zakamarek metropolii. To już stało się codziennością.

Pogrążony w swoich rozmyślaniach znowu, nie zauważyłem jak podjechalismy na miejsce. Podziękowałem kierowcy, zapłaciłem i wysiadłem. Zatrzymaliśmy się kilkadziesiąt metrów od mojego samochodu, więc miałem okazję nieco się przespacerować spokojnym osiedlem.

Zerkałem na ogródki i domostwa. Dzielnica nie należała do najbogatszych, ale była naprawdę schludna. Domy co prawda lata swojej świetności miały dawno za sobą, ale wyglądały na przytulne i bezpieczne. Na ulicy było względnie czysto jeśli nie zwracało się uwagi na typowe dla tego miasta pogięte pojemniki na śmieci i liczne worki ułożone tu i tam. Widać zakład oczyszczania miasta znowu miał jakiś problem i pracownicy nie zamierzali zabierać się do roboty.

Przy kilku domach zauważyłem dziecięce zabawki. Czyli jednak liczba nowych dzieci rosła. Skoro tutaj mieszkają małe dzieci z rodzicami, to w bogatszych dzielnicach może ich

być mniej. Jakby nie patrzeć lepsze warunki. Chociaż, nie wiem czy to dobrze. Kto by chciał wychowywać dzieci w takim świecie? Zresztą, nie mnie oceniać.

Podszedłem do swojego samochodu i wyłączyłem alarm.

– To pańskie auto? – spytał jakiś kucyk, stojący obok wejścia do swojego domu.

Odwrociłem się.

– Tak, a co? – spytałem.

– W nocy jakiś element społeczny kręcił się obok niego – zakomunikował.

Czyli jednak nie jest tu tak sielankowo jak sądziłem.

– Wie pan kto to? – spytałem.

– Nikt nie wie – odparł – ale chyba nic nie zrobili, nie wiem czy chcieli go ukraść, czy powybić szyby – dodał.

Zerknąłem na auto. Było całe. Nawet jednej nowej rysy.

– Wygląda, że wszystko jest w porządku – rzuciłem.

Kuc już nie odpowiedział, kiwnął tylko głową i zniknął za drzwiami. Rozejrzałem się, po czym wsiałem do auta.

Spojrzałem jeszcze na dom kuca. Stojący po przeciwnej stronie budynek wyglądał na nieco zapuszczony i dopiero teraz uświadomiłem sobie, że mimo tego, iż mój rozmówca był jednorożcem, to miał na nodze jakiś opatrunek.... Zaraz... to nie był opatrunek, to wspomagacz stawu. Albo był chory, albo miał jakiś wypadek. W sumie, nie moja sprawa. Dom jeszcze się nie sypie.

Odwracając się, zauważyłem jeszcze zastawione wybite okno w budynku na parterze. Przyjrzałem się uważniej. Czemu ktoś miałby temu starcowi wybijać okno? Jakież dzieciaki trafiły piłką i żaden nie zamierzał się przyznać?

Zauważyłem też jakieś zamalowane napisy pod tym wybitym oknem, niedbale zamazane białą farbą, która zdążyła już nieco się zabrudzić.

Element, tak? Wyjąłem z kieszeni telefon i wybrałem numer centrali. Po usłyszeniu charakterystycznego kliknięcia zacząłem:

– Kells, połącz mnie z centralą obserwacji.

Słyszałem jak odbierająca sprawdza wiarygodność połączenia, po czym nastąpiło przekierowanie.

– Obserwacja, co tam? – usłyszałem znajomy głos.

– Sprawdź mi nagrania z nocy, z mojej obecnej pozycji. Ktoś kręcił mi się obok samochodu? – spytałem.

– Sekunda...

Dosłownie po kilku sekundach dostałem odpowiedź:

– Tak, jakichś trzech gości kręciło się obok Hondy. Ale nic nie zrobili.

– Rozpoznasz ich? – Spytałem.

– Do czego ci to potrzebne?

– Mam do nich sprawę – odparłem.

– Daj mi chwilę...

Czekając jeszcze rozejrzałem się po okolicy. Z jednego z domów wyszła jakaś kobieta z workiem na śmieci i podeszła do swojego pojemnika. Podniosła go i wrzuciła worek do środka. Pozbierała leżące obok niego butelki i zgarnęła jakieś rozbite szkło.

– Namierzyłem jednego – zakomunikował koordynator – to Jayden Taylor. Nieźle ziółko jak na ten wiek. Ma siedemnaście lat i już był poszukiwany za napad z bronią w ręku i wymuszenia.

– To z policyjnej bazy? – Spytałem.

– Tak.

– Jakież wyroki?

– Żadnego. Ma bogatego ojca – odparł – typowe zabawy bogatych dzieci kosztem biedniejszych.

– Ma jakichś znajomków?

– Kilku, mają jakieś wpisy, ale raczej nie są niebezpieczni.

– Wiesz gdzie są?

– Skatepark, przy Mayers.

– Dzięki.

– Alex, to nie nasza sprawa, agencja nie miesza się do zadań policji miasta – zakomunikował koordynator.

– Wiem o tym. Ale dotykali moje auto – odparłem.

Nie musiałem widzieć miny koordynatora, ale byłem pewien, że się uśmiecha.

– Masz dwadzieścia minut.

Rozłączyłem się, teraz to ja się uśmiechałem.

Odpaliłem silnik i ruszyłem z miejsca. Kierując się w stronę Mayers, przejechałem obok domu w którym wczoraj miała miejsce moja akcja. Ekipa remontowa już kończyła swoje zadanie. Znów się wyszczerzyłem. Tak właśnie działa agencja. Nie zostaje nawet cień.

Nie spieszyłem się. Miałem całe dwadzieścia minut. Nie chciałem by jakiś zabłąkany patrol policji mnie zatrzymał i popsuł mi dzień. Znałem rozkład ulic, miałem komputer pokładowy z GPS, więc przemykałem różnymi skrótami i po kilku minutach byłem przy wspomnianym skateparku. Zatrzymałem się obok małej budki z hot-dogami.

Podszedłem do sprzedawczyni i poprosiłem o przygotowanie tego wątlęgo zdrowotnie posiłku. A co, coś mnie musi zabić. A nie będą to zjawy. Chyba...

Skierowałem się w stronę grubych młodzieńców i omiotłem ich spojrzeniem. Jak na życzenie zawibrował mój telefon. Zerknąłem na ekran, by zobaczyć twarz i obecny ubiór Jaydena. Nic nadzwyczajnego.

Podszedłem spokojnie do nich i stanąłem obok. Zignorowali mnie, zajęci swoimi zabawami. Kilku z nich jeździło na deskach, jeden z nich na mój widok schował swojego jointa i uważnie mi się przyglądał. Ktoś puszczał jakąś denną muzykę z telefonu. Matko... ja się naprawdę starzeję... kiedyś mieli by boomboxa i słuchali czarnego rapu!

– Aresztuje nas pan? – Spytała jakaś dziewczyna, spoglądając na mnie.

– A chciałybyś? – Odparłem.

– To nie żaden tajniak – rzucił jakiś chudzielec wstając.

Teraz wszyscy spojrzeli na mnie.

– Tajniacy nie dają się tak sprać – zauważył inny.

– Co jest dziadku? Szukasz przyjaciół? – Spytał stojący najbliżej.

Uśmiechnąłem się. Kilku z nich ruszyło ze swojego miejsca i obeszło mnie, stając kilka metrów za mną. Teraz byli wyraźnie zainteresowani. Jeden z nich podszedł do mnie i stanął przede mną.

– Więc? Czego tu szukasz?

– Ciebie... Jayden – rzuciłem.

Dobrze zbudowany chłopaczek nieco się zmieszał, ale nie stracił rezonu.

– A czego chcesz ode mnie? – Spytał, uśmiechając się do swoich pobratymców.

– Przyjechałem tutaj, nadrobiłem kawał drogi, co zajęło mi sporo czasu, proszę więc, nie zmarnuj go i posłuchaj mnie: przestań nękać dzielnicę Hartwood – odpowiedziałem spokojnie.

Tak jak się spodziewałem. Wszyscy wybuchli śmiechem, a Jayden po chwili szturchnął mnie.

– Dziadku, nie będziesz mi mówił co mam robić, MAM RACJĘ?! – Krzyknął do swoich.

Uśmiechnąłem się. Kiedy entuzjazm młodzieży nieco opadł odezwałem się.

– Rozumiem to, Jayden i szanuję to – odparłem wyciągając notes i pisząc na kartce – trzymaj, gdybyś chciał porozmawiać o swojej agresji, zadzwoń – podałem ku wyrwaną kartkę.

Jayden nawet na nią nie spojrzał. Zgniół ją i rzucił ją we mnie.

– Piedol... – przerwał w pół zdania. Odsunąłem się – Nie... nie... odejdz... – zaczął się cofać.

Inni spojrzeli na niego z przerażeniem. Jay zaczął machać rękoma i wydzierać się. Cofając się, zawadził o barierkę do zjazdów i przewrócił się. Upadł ciężko na ziemię i zaczął wierzgać nogami, wymachiwać rękoma i drzeć się na całe gardło. Reszta spojrzała na mnie z autentycznym strachem w oczach.

– Coś ty mu zrobił?! – Wrzasnęła jakaś dziewczyna.

– Opętałem go – odparłem spokojnie.

Jakby piorun ich strzelił. Cofnęli się jak oparzeni. Kilku zaczęło uciekać. Pozostali nie chcąc wyjść na tchórzy powoli cofali się licząc, że nikt nie zauważy kiedy uciekną.

Jay nadal wierzgał i krzyczał zdzierając sobie gardło. Szamotał się na betonie, brudząc sobie ubranie i gubiąc buty. Ku mojej uciechu, zauważyłem jak puścił mu pęcherz. Po minucie zostałem tylko ja i on. Spojrzałem na zegarek. Moje jedzonko powinno być gotowe.

Jak na zawołanie, chłopak uciszył się i spoglądał z przerażeniem w dal. Pstryknąłem mu nad głową.

– Jay!

Bez reakcji.

– Jayden! – Potrząsnąłem nim.

Chłopak spojrzał na mnie.

– Najważniejsze teraz jest to, byś zrozumiał iż od tej chwili takie wizje będą cię nawiedzać za każdym razem, kiedy zrobisz coś niezgodnego z prawem. Wybijesz szybę, napadniesz kogoś czy porysujesz komuś samochód. Rozumiesz co do ciebie mówię?

Jay pokiwał niemrawo głową.

– Doskonale. Kartka której dotknąłeś zawierała runę, która przypisała ci własnego demona, który ma za zadanie karać cię, jeśli zrobisz coś złego innym. To taki swego rodzaju Anioł Stróż, z tą tylko różnicą, że ten ma w dupie twoje dobro.

Jayden, choć nadal przerażony i znieruchomiły wyglądał jakby dotarło do niego to co mu powiedziałem. Wstałem więc i spojrzałem na niego. Żałosny widoczek. A taki kogucik z niego był a teraz leży w kałuży własnych szczyń, przerażony i blady. Jak ławo sprowadzić na ziemię takiego prostaka, jedną, niegroźną runą wizualizacji. Pokręciłem głową i zostawiłem go Tam gdzie leżał. Za kwadrans powinien się pozbierać i wrócić do domu.

Idąc, sam nie wiem czemu zacząłem sobie nucić „*Mam tę moc*”.

Mam tę moc!
Mam tę moc!
Rozpalę to co się tli.
Mam tę moc!
Mam tę moc!
Wyjdę i zatrzasnę drzwi!

Wszystkim wbrew,
na ten gest mnie stać!
Co tam burzy gniew?

Nawet sobie podskoczyłem w drodze do budki. Naprawdę chwytliwa nuta. Mój entuzjazm nieco opadł, kiedy zobaczyłem małą klaczkę, dziwnie mi się przyglądającą i jej matkę, która popychała ją, mówiąc coś do niej.

– Córciu, nie patrz na tego pana, pewnie jest pijany... albo gorzej...

Dorośla klacz rzuciła mi jeszcze nienawistne spojrzenie na odchodne. To ja tu strzelam performans artystyczny, uzewnętrzniam się i co? Tak się traktuje artystów?! To ja to proszę pani pierdolę i idę mordować potwory!

Wyjąłem z kieszeni telefon i ponownie poprosiłem o połączenie z monitoringiem.

- Załatwione - zakomunikowałem.

- Co mu zrobiłeś? - Spytał koordynator.

- Dałem mu swój numer - odparłem i rozłączyłem się.

Złorzecząc na nieczuły na artystów świat podszedłem do budy z hot-dogami i odebrałem swoje zamówienie. Wgryzłem się w parówkę i rozkoszowałem smakiem przypraw zawierających takie ilości chemii, że pewnie za kwadrans przegryzie mi flaki na wylot.

Idąc w stronę samochodu zauważyłem jakąś wątlą babinkę, która, podobnie jak ja, złorzeczyła całemu światu. Mąż ją zostawił, czy jak?

– Grzesznicy! Wszyscy spłoniecie w piekle!

Kolejna nawiedzona.

– To jest kara! KARA ZA GRZECHY!

Bywali i tacy, którzy twierdzili, że to co spotkało to miasto jest karą za rozpustę i inne takie. Chyba trafiłem na przedstawicielkę tej grupy. Pouczający widok. Nagle babinka spojrzała na mnie.

– Nic nie dzieje się bez przyczyny!

Pokiwałem głową, przegryzając hot-dogiem. Niezłe kino się szykuje. Może ją też potraktuję runą?

– Każdy popełnia błędy! Ale każdy musi za nie zapłacić!

Albo nie, jeszcze na zawał mi tu zejdziesz.

– Dla niektórych nie ma już szansy! – Krzyknęła.

Poczułem jak wibruje moja komórka.

– Kells.

– Alex, wracaj do centrali, jest tu coś co musisz zobaczyć! – Usłyszałem głos swojego przełożonego.

– A na szybko, co to?

Chwila ciszy.

– Nie umiem tego opisać. Przyjeżdżaj, sam się przekonasz.

– Dobra, zbieram się, za jakąś chwilę będę.

– Streszczaj się, Alex.

Rozłączył się. Zauważyłem, że kobitka podeszła zdecydowanie bliżej. Już miała znów zacząć jakąś swoją tyradę, ale przysunąłem się do niej i wsadziłem w rękę parówkę. Nie zdążyła się nawet porządnie zdziwić, kiedy byłem już przy samochodzie i wsiadałem do niego.

Odpaliłem silnik, wybrałem sobie z komputera pokładowego jakąś nutę na drogę i ruszyłem z miejsca. Spoglądając we wsteczne lusterko widziałem zdziwioną staruszkę. Niech sobie zje coś ciepłego, w końcu czeka ją cały dzień wydzierania się.

*When you're alone and life is making you lonely
you can always go Downtown
When you've got worries, all the noise and the hurry*

seems to help I know, Downtown

*Just listen to the music of the traffic in the city
Linger on the sidewalk where the neon signs are pretty
How can you lose?*

Ciemnoniebieski Ford Ka spokojnie wymijał samochody na szerokiej arterii daleko za centrum miasta. Mały samochodzik dynamicznie zmieniał pasy, by po chwili zniknąć w jednym z wielu zjazdów z traktu. Kierowca spokojnie nucił sobie razem z wokalistką swoją ulubioną piosenkę, zapominając o troskach otaczającego go świata.

Kobieta za kierownicą, szybko zerknęła we wsteczne lusterko i lekko cmokając, poprawiła sobie szminkę na ustach. Uśmiechnęła się. Ten dzień dopiero się dla niej zaczynał.

*The lights are much brighter there
You can forget all your troubles,
forget all your cares so go*

*Downtown, things'll be great when you're
Downtown, no finer place for sure
Downtown, everything's waiting for you*

Zjazd kończył się niemal przy samym wejściu na jeden z dworców miasta. Wiekowa budowla dumnie wznosiła się w okolicy. Konserwatorzy dbali by ten zabytkowy budynek zawsze był w pełni okazałości. Jego piękna dopełniał specjalnie zaprojektowany, szeroki, marmurowy chodnik. Co uważniejszy zauważyliby, że na jego powierzchni, mimo setek tysięcy postaci przewijających się tutaj każdego dnia, nie ma przyklejonej ani jednej gumy do żucia.

O tej porze przemykały tędy dziesiątki ludzi i kucy. Czy to do pracy, czy szkoły. Była nawet jakaś grupa młodzieży z jednej ze szkół, która stojąc w zwartym szyku podziwiała ten architektoniczny cud. Mieli za chwilę wejść do środka, by zobaczyć jak dworzec prezentuje się wewnątrz. Przewodniczka z entuzjazmem opowiadała o planach i budowie tej budowli.

*Don't hang around and let your problems surround you
There are movie shows, Downtown
maybe you know some little places to go to
where they never close, downtown*

*Just listen to the rhythm of a gentle bossa nova
You'll be dancing with him to before the night is over
Happy again*

*The lights are much brighter there
You can forget all your troubles,
forget all your cares so go*

Ciemnoniebieski Ford zatrzymał się na ulicy, kilkanaście metrów od wejścia. Szykownie ubrana kobieta nie zaprzętała sobie głowy wyłączaniem radia. Wysiadła z samochodu, zostawiając otwarte drzwi i spojrzała z uśmiechem na budynek oraz kilkadziesiąt postaci pogrążonych w swoich myślach.

Kobieta obeszła samochód i otworzyła drzwi pasażera. Zajrzała do środka, czym przykuła uwagę kilku mniej spieszących się mężczyzn, którzy ukradkiem rzucili okiem na jej kształtne ciało, teraz tak zmysłowo skierowane w ich stronę.

*Downtown, where all the lights are bright
Downtown, waiting for you tonight
Downtown, you're gonna be all right now*

*And you may find somebody
kind to help and understand you
someone who is just like you
and needs a gentle hand to
Gide them alone*

*So maybe I'll see you there
We can forget all our troubles,
forget all our cares so go*

Dźwignęła z siedzenia dużą sportową torbę. Pakunek wydawał się za ciężki dla tak wątlej kobiety jak ona, ale właścicielka poradziła sobie z nią bez problemu. Wyjęła ją z auta i trzymając przed sobą, zaczęła rozsuwać. Jakiś mężczyzna zdecydował, że jej pomoże i wolno ruszył w jej kierunku.

Uśmiechając się, rozsunęła torbę do końca i zrzuciła ją na chodnik. Mężczyzna zatrzymał się, niepewny tego co widzi.

Kobieta spojrzała na przechodniów i włączając się do ostatniego refrenu piosenki pociągnęła za spust.

*Downtown, things'll be great when you're
Downtown, don't wait a minute for
Downtown, everything's waiting for you*

Downtown, Downtown, Downtown, Downtown...

Koniec części III